

YES. FRONDA

WE CAN!

POWOŁANI, BY ŚWIADCZYĆ



Z młodymi ambasadorami **Światowych Dni Młodzieży**
(i nie tylko) rozmawia **Zbigniew Kaliszuk**



YES.
WE CAN!

[Kup książkę](#)

YES.
WE CAN!

POWOŁANI, BY ŚWIADCZYĆ

Z młodymi ambasadorami **Światowych Dni Młodzieży**
(i nie tylko) rozmawia **Zbigniew Kaliszuk**

FRONDA

[Kup książkę](#)

Projekt kładki: Fahrenheit 451

Na okładce wykorzystano elementy identyfikacji wizualnej ŚDM

Dyrektor projektów wydawniczych:

Maciej Marchewicz

Redakcja:

Iga Kruk-Żurawska

Korekta:

Weronika Sygowska-Pietrzyk

Skład i łamanie:

PanDawer, www.pandawer.pl

copyright:

©Copyright by Zbigniew Kaliszuk 2016

©Copyright for Fronda PL, Sp. z o.o., Warszawa 2016

ISBN 978-83-8079-065-0

Wydawca:

Frona PL, Sp. z o.o.

ul. Łopuszańska 32

02-230 Warszawa

Tel. 22 836 54 44, 877 37 35

Fax. 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl

www.wydawnictwofrona.pl

www.facebook.com/FronaWydawnictwo

www.twitter.com/Wyd_Frona

Kup książkę

Spis treści

Wstęp	7
Bóg działa w naszym życiu	11
Marcin Mroczek	
Marzę, aby każdy człowiek był święty	23
Magdalena Korzekwa-Kaliszuk, CitizenGO	
Nawrócony Szaweł	41
Marcin Kwaśny	
Nie jesteśmy w naszej wierze sami	61
Anna Salawa, Światowe Dni Młodzieży	
Uchwycić coś nieuchwytnego	79
Tomasz Wolny	
Rzucić się w wir z Bogiem	97
Maciej Syka, Lednica, High Hope Films	
Każdy z nas jest szeregowym żołnierzem na służbie Bogu	112
Tadeusz Syka, Lednica, „Do zobaczenia w Krakowie”	
Inspirująca normalność	129
Kamil Stoch	
Życ na maksa	139
Andrzej Sobczyk, Gloria24.pl, Dobry Mailing	
Pielgrzymując ku niebu	161
Antek Smykiewicz	
Wiara, czyli lifestyle oparty na bardzo silnych fundamentach	181
Mateusz Ochman, blog „Bóg, honor & rock`n`roll”	
Miłosierdzie ze śródmieścia Warszawy	199
Zofia Klepacka	

Wiek nie ma znaczenia w czynieniu dobra	215
Ewa Rejman, Młodzi Pro-Life	
Obrazy, które wpływają na rzeczywistość	235
Jakub Szymczuk	
W służbie miłości	261
Katarzyna i Mariusz Marcinkowscy, Przepis na Miłość, Serce Kobiety, Przymierze Wojowników	
Dobrzy ludzie nie mogą być bierni	289
Zbigniew Kaliszuk	
Zakończenie	303

Wstęp

„Drodzy młodzi przyjaciele (...) Starajcie się, aby w waszym życiu jaśniało światło Chrystusa! Nie czekajcie aż będziecie starsi, by wejść na drogę do świętości! Świętość jest zawsze młoda, tak jak wieczna jest młodość Boga. Ukazujcie wszystkim piękno spotkania z Bogiem, który nadaje sens waszemu życiu... Świat, który odziedziczycie, to świat rozpaczliwie potrzebujący odnowionego poczucia braterstwa i solidarności. Ten świat potrzebuje być dotknięty i uzdrowiony przez piękno i bogactwo Bożej miłości. Współczesny świat potrzebuje świadków tej miłości. Potrzebuje on, abyście byli solą ziemi i światłem świata.”

*Jan Paweł II
Toronto, Światowe Dni Młodzieży*

Dla wielu osób, tak jak dla mnie kiedyś, słowa św. Jana Pawła II wzywającego nas do świętości mogą wydawać się niemożliwym do zrealizowania ideałem. Bardzo często postrzegamy świętość jako coś odległego i nieosiągalnego. Wielu z nas może myśleć: „gdzie mnie, «zwykłemu człowiekowi», do Jana Pawła II?”, „Ja, z moimi grzechami i słabościami,

miałbym być świętym? Dobry żart”. Podobnie może się nam wydawać, że jesteśmy ostatnimi osobami, które nadają się do dawania świadectwa. Jak mam być świadkiem wiary, jeśli sam jestem osobą wątpiącą? Co ja – zwykły, szary człowiek – mogę zrobić na rzecz wiary i wartości? Jak być świadkiem wiary w środowisku, w którym bycie katolikiem jest „obciachem”? Być może zadajesz sobie takie albo podobne pytania. Są one całkowicie naturalne. Jednak Ojciec Święty z pewnością nie stawiałby przed nami wyzwania ponad nasze siły!

Zastanawiając się nad tym, jak dorastający człowiek może dzisiaj odnaleźć się w świecie i w Kościele, oraz jak zostać świętym w XXI wieku, odbyłem kilkanaście rozmów z osobami, których przykład jest dla mnie wielką inspiracją. Wśród moich rozmówców znalazły się gwiazdy świata sportu, kultury i mediów oraz liderzy prężnych katolickich inicjatyw. Choć możesz się zastanawiać, co ciekawego o wierze i Bogu może powiedzieć aktor albo sportowiec, oraz co łączy znanego muzyka z twórcą księgarni religijnej, to zapewniam, że w książce nie wypowiedzi się żadna przypadkowa osoba. Wszystkich bohaterów łączy to, że wykorzystują talenty, jakimi zostali obdarzeni przez Boga na Jego chwałę, nie boją się żyć wiarą na co dzień i przyznawać się do tego. A także to, że są młodzi. Pomyśl na tą książkę zrodził się w mojej głowie w związku z zaszczytną rolą Ambasadora Światowych Dni Młodzieży, jaka mi przypadła w ostatnich miesiącach. Zależało mi na tym, aby nie być Ambasadorem tylko na papierze, ale zrobić coś dla młodych, wskazać im przykłady konkretnych osób w ich wieku oraz postaw, które mogą naśladować. Niemniej, choć pracując nad tym tekstem, myślałem przede wszystkim o młodzieży, nie mam wątpliwości, że wartościowe treści znajdziesz tutaj każdy, bez względu na wiek.

Ta książka to świadectwa bycia blisko Boga oraz konkretne wskazówki do stawania się świętym. Przeczytasz historie fascynujących i radykalnych nawróceń oraz niezwykle opowieści osób, które od zawsze mocno opierały swoje życie na Bogu. Przekonasz się jak pasjonujące może być kroczenie drogą razem z Bogiem oraz angażowanie się w życie Kościoła. Znajdziesz szereg podpowiedzi (za każdą z nich stoją

doświadczenia konkretnych osób) co do tego, jak żyć po katolicku, odnaleźć się we współczesnym świecie, radzić sobie z cierpieniem, rozeznawać swoje powołanie, rozwijać miłość, łączyć karierę zawodową z wiarą i życiem rodzinnym, pielęgnować relację z Bogiem.

Bohaterowie tej książki, choć w moim odczuciu wykonują kapitalną ewangelizacyjną robotę, nie są żadnymi superherosami, ale osobami takimi jak Ty. Mają swoje wątpliwości, słabości, lęki, przechodzą kryzysy wiary. Działania jakie podejmowali i podejmują nieraz wymagały od nich pokonywania własnej nieśmiałości oraz przełamywania innych cech charakteru. Zapewne w wielu aspektach bijesz ich na głowę! Mam nadzieję, że ta lektura zainspiruje Cię do tego, abyś także odpowiedział(a) na głos Boga, który na pewno rozlega się w Twoim sercu. Dążenie do świętości i dawanie świadectwa nie jest przeznaczone tylko dla wybranych, ale jesteśmy powołani do niego wszyscy. Niezależnie od tego, czy jest się medalistą olimpijskim czy licealistą.

A black and white portrait of actor Marcin Mroczek. He is a man with short, dark hair, smiling broadly at the camera. He is wearing a dark suit jacket with light-colored contrast stitching on the lapels and pocket, a white dress shirt, and a dark tie. A small, dark, flower-shaped brooch is pinned to his left lapel. His arms are crossed over his chest.

MARCIN MROCZEK

AKTOR

[Kup książkę](#)

Bóg działa w naszym życiu

Jeśli ktoś ma wątpliwości, że Bóg poprzez wydarzenia i ludzi, jakich stawia na naszej drodze, stara się cały czas pukać do naszych serc, po wysłuchaniu historii Marcina Mrocza powinien zmienić zdanie. Nawiasem mówiąc, tylko dzięki jednej z takich bożych interwencji w ogóle możemy ją usłyszeć.

Trwają Targi Książki Katolickiej. Marcin wybiera się na nie, licząc, że kupi jakąś ciekawą książkę, która pomogłaby mu pogłębić wiarę. W tłumie osób, zupełnie przypadkowo, wypatruje go jeden z księży odpowiedzialnych za przygotowanie Światowych Dni Młodzieży i zachęca do współpracy. Następuje kilka kolejnych zbiegów okoliczności i parę miesięcy później rozmawiamy o tym, dlaczego Marcinowi jest z Bogiem po drodze.

Historia Marcina jest dla mnie bardzo inspirująca. Podejrzewam, że mogłaby się w niej odnaleźć zdecydowana większość katolików w Polsce. Człowiek, który kiedyś był typowym „letnim” katolikiem, traktującym wiarę jako tradycję i obowiązek, dzisiaj z pasją stara się zachęcać do niej wszystkich wokół.

Marcin Mroczek – aktor, od 2000 roku występuje w serialu „M jak miłość”, gdzie gra rolę Piotra Zduńskiego.

W listopadzie poprowadziłeś dla młodych ludzi zaangażowanych w przygotowywanie Światowych Dni Młodzieży spotkanie „Pan Bóg? Tak”. Podzieliś się historią swojego powrotu do Kościoła także ze mną?

Marcin Mroczek: Moja historia nie jest drogą powrotu do Boga, bo On w moim życiu cały czas był obecny, tylko drogą odkrywania Boga na nowo. Zostałem wychowany w wierze katolickiej. Moi rodzice bardzo pilnowali, żebyśmy z bratem chodzili w niedzielę do kościoła. Zresztą nie musieli mnie do tego specjalnie przekonywać, po niedzielnej Mszy zawsze czułem spokój i radość. Kiedy wyjechałem na studia do Warszawy, natłok zajęć i to, co oferuje młodym ludziom stolica, sprawiły, że Bóg i codzienne relacje z Nim zaczęły gdzieś umykać. Studiowałem inżynierię lądową na Politechnice Warszawskiej, czyli dość wymagający kierunek, do tego grałem w serialu *M jak Miłość*, więc musiałem radzić sobie z nawałem różnej pracy. Niedziela była dniem, w którym mogłem nadrobić zaległości ze studiów, przysiąc do projektów. Kościół zaczął przez to schodzić na drugi plan. Pomału zapomniałem o tym, co jest w tym dniu najważniejsze, coraz rzadziej uczestniczyłem w Mszach świętych. Na to nałożył się też młodzieńczy bunt. Młodzi ludzie często chcą się urwać z rodzicielskiego łańcucha, próbują odnaleźć własną drogę i wszystko zrobić po swojemu. Tak było też ze mną. Miałem swoje zdanie, chciałem wszystko zmienić w swoim życiu, postępować inaczej niż nauczyli mnie rodzice. Zaczęła się liczyć dobra zabawa, osiągnięcie sukcesu i szczęście, ale nie wewnętrzne tylko buchające na zewnątrz, tak by wszyscy je widzieli.

Z czasem zaczęło mi jednak brakować czegoś więcej. Przestało mnie cieszyć to, że jestem popularny, że osiągnąłem sukces. W swoim wnętrzu cały czas czułem ogromną pustkę i niechęć do wszystkiego. Ciągłe się krytycznie oceniałem, miałem niską samoocenę i ze wszystkiego byłem niezadowolony. Nie potrafiłem docenić sam siebie. Któregoś dnia rano zadzwonił do mnie mój brat, powiedział, że jedzie z kolegą do Częstochowy na Mszę świętą z modlitwą o uzdrowienie i spytał mnie, czy bym się z nimi nie zabrał. Bardziej z ciekawości niż z głębokiej potrzeby, powiedziałem: „czemu nie, dawno

nie byłem w Częstochowie”. Okazało się później, że ta Msza nie była nawet w Częstochowie, a pod nią (*śmiech*). Podczas tej Mszy zaczęło się we mnie coś zmieniać, zacząłem czuć, że wiara, którą mi przekazali rodzice, to nie jest coś pustego, coś, co ktoś kiedyś wymyślił, tylko że Bóg naprawdę istnieje i mnie kocha. Poczułem wtedy ogromną chęć poznania Boga na nowo. Po powrocie spróbowałem zacząć żyć Ewangelią na co dzień. I stany niezadowolenia zaczęły mijać. Byłem coraz bardziej szczęśliwy, cieszyłem się z każdego dnia, doceniłem to co mam i dziękowałem za to.

A gdzie w tej historii była Twoja żona? Jak ona się zapatriowała na Twoją wcześniejszą postawę i jak się odnalazła w nowej sytuacji, po tym jak zacząłeś pogłębiać swoją więź z Bogiem?

Moja żona była osobą wierzącą, ale niepraktykującą. Spotkało ją w życiu kilka przykrych doświadczeń. Nie przeszkadzało jej to, że chodziłem do kościoła, nawet czasami chodziła ze mną, ale jej wiara była raczej zbuntowana, nastawiona na nie. Pomimo to, tamtego dnia wybrała się razem z nami do Częstochowy – tak się złożyło, że wróciłem wtedy po dłuższej nieobecności do Warszawy. Kiedy oznajmiłem, że znowu wyjeżdżam, stwierdziła, że tym razem pojedzie ze mną. Początkowo nie chciała uczestniczyć w Mszy, ale bała się zostać przez wiele godzin sama w samochodzie, więc poszła z nami. To była chyba jej największa walka duchowa w życiu. Bóg pomógł jej, tak jak mnie, przejść olbrzymią przemianę. Widzę, jak od czasu tamtej Mszy promienieje. Każdego dnia dziękujemy Bogu za to, że tak się w naszym życiu stało, że możemy razem chodzić do kościoła, cieszyć się naszą wiarą i nie kłócić się o to.

Czy umocnienie więzi z Bogiem zmieniło coś w Waszej codzienności i w Waszych relacjach?

Zauważyłem dużą zmianę w codziennym życiu, choć nie na każdej płaszczyźnie. To nie było tak, że nagle w moim życiu wszystko wywróciło się do góry nogami. Na pewno zmieniła się moja relacja z mamą. Oboje mamy dosyć

trudne charaktery, jesteśmy uparci i lubimy stawiać na swoim. Dlatego czasem dochodziło między nami do kłótni. Za każdym razem obiecywałem sobie, że tym razem nie zrobię nic, co wywoła łzy w jej oczach czy spowoduje, że się zdenerwuje. I za każdym razem, mimo moich najlepszych chęci, nie udawało mi się dotrzymać słowa. Do momentu wyjazdu do Częstochowy. To wielka łaska od Boga, że tę relację udało się wyprostować. Bóg pomógł mi się zmienić i trochę odpuścić.

Szczególnie mocno uderzyło mnie w Twojej opowieści, że powiedziałeś, że jeszcze przed odnalezieniem Boga miałeś niskie poczucie wartości. Twoje nazwisko było dzięki serialowi *M jak Miłość* jednym z najbardziej rozpoznawalnych w Polsce, występowałeś w *Tańcu z Gwiazdami*, nie tylko w Polsce, ale też na Ukrainie ...

Zawodowych sukcesów było bardzo dużo. Kiedy ktoś spoglądał na moje życie z boku, mogło mu się wydawać: ten facet jest w czepku urodzony. Ma fantastyczną żonę. Odnosił ogromny sukces zawodowy. Ale ja tego nie doceniałem, czułem się kompletnie bezwartościowy. Być może wzięło się to ze specyfiki mojego zawodu i wynikającego z niej rodmuchanego ego. Człowiek, który nie ma stabilnego oparcia emocjonalnego, ciągle chce więcej i więcej. Nigdy nie jest w stanie się zadowolić, bo nawet jeśli uda mu się coś osiągnąć, to zaraz pragnie czegoś następnego. Do tego dochodzi konieczność mierzenia się z ciągłymi ocenami ze strony innych i to publicznie. Prasa cię nie oszczędza, wyciąga wszystkie twoje słabe punkty. Mi na przykład regularnie przypominała o tym, że nie jestem z wykształcenia aktorem, tak jakby wykształcenie wystarczało do tego, żebyśmy byli w czymś dobrzy. Zupełnie nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Z jednej strony moje ego pchało mnie do tego, żeby podejmować kolejne wyzwania, z drugiej bałem się, że znowu zostanę źle oceniony i nie potrafiłem się cieszyć. Dopiero Bóg pozwolił mi się z tym uporać, nauczył zupełnie inaczej patrzeć na kategorię sukcesu.

W jaki sposób?

Zacząłem dostrzegać, że życie składa się z ogromu sukcesów. Naszym sukcesem nie muszą być tylko wielkie rzeczy, o których wszyscy będą trąbić i po których będą klepać nas po plecach z zachwytem. Każdy kolejny dzień, każde nasze powodzenie w czymś, nawet z pozoru drobnym, jest sukcesem. Powiedziałbym nawet, że dzisiaj bardziej cenię te osiągnięcia, których nikt nie widzi. Oczywiście takie wielkie sukcesy dają mi mnóstwo satysfakcji, ale nie są już dla mnie najważniejsze.

Drugą rzeczą, która mnie uderzyła w Twojej historii, jest to, że to nie jest historia radykalnego nawrócenia, jakie się czasem słyszy. Nigdy nie przestałeś wierzyć w Boga, czasami praktykowałeś, brakowało w tym tylko trochę zaangażowania. Podejrzewam, że to sytuacja zdecydowanej większości katolików Polsce...

Zdaję sobie sprawę, że najbardziej poruszające są świadectwa osób, które były w absolutnym dołku i się z niego z Bożą pomocą podniosły. Ale takie myślenie może być pułapką. Większość ludzi sądzi, że jak będą chodzić do kościoła w niedzielę, pójdą do spowiedzi i komunii w święta, to wystarczy. Tymczasem można w ten sposób „praktykować” przez całe życie i tak naprawdę nie spotkać Boga.

Można chodzić do kościoła, ale być oddalonym od Boga?

Można. I to można być bardziej oddalonym niż ten, który nie chodzi do kościoła, ale nieraz myśli o Bogu i błaga Go o pomoc.

Co poradziłbyś młodym ludziom, żeby nie powielali Twoich błędów, żeby wiara nie stała się dla nich tylko przykrym obowiązkiem?

Żeby wiarę traktowali nie jako obowiązek, ale jak pasję. Nieraz dopadnie nas zniechęcenie, nieraz Bóg da nam o sobie zapomnieć. Trzeba być otwartym na jego ponowne działanie i pomoc, jaką nam oferuje, żebyśmy byli szczęśliwi. Nie przejmujemy się, że w naszym życiu duchowym nie zawsze jest tornado.

A czy da się jakoś ochronić przed młodzieńczym buntem?

Młodość zawiera w sobie bunt. Ważne żeby w pewnym momencie oprzytomnieć i spróbować ukierunkować ten bunt w dobrą stronę. Porównuję relację z Bogiem do relacji z ojcem. Każdy młody człowiek buntuje się przeciwko decyzjom swoich rodziców. Dopiero z perspektywy czasu rozumiemy, że ich rady wynikają z wielkiej troski o nas i przeważnie są słuszne. Niejako po fakcie uświadamiamy sobie, że gdybyśmy ich kiedyś posłuchali, to byłibyśmy w zupełnie innym miejscu, być może uniknęlibyśmy pewnych rozczarowań, poniżeń, konsekwencji popełnionych błędów.

Zastanawiałem się dużo nad tym, dlaczego Bóg pozwala nam się buntować i robić głupstwa, które kończą się dla nas tragicznie, dlaczego dopuszcza byśmy cierpieli? Czy w ten sposób karze nas za to, że nie jesteśmy Mu wierni? Teraz nie mam wątpliwości, że Bóg nikogo nie karze, On chce dla nas jak najlepiej. Cierpienie przeważnie przynosimy sobie sami, Bóg pozwala nam jedynie ponosić skutki własnych wyborów. Próbuje na wszelkie sposoby zachęcić nas do dobrych decyzji, ale ostatecznie to my je podejmujemy, bo On dał nam wolną wolę. Znowu – to tak jak z moim ojcem. Całe życie dbał o to, żeby nie stała mi się krzywda. Całe życie chciał mnie chronić. Jasno mówił: „słuchaj nie rób tego, bo się oparzysz. Nie rób tego, bo będzie bolało”. Mimo to nieraz przewróciłem się na rowerze, stłukłem kolano czy popełniałem różne życiowe błędy, bo go nie słuchałem i byłem przekonany, że wiem lepiej. On by najchętniej temu zapobiegł. Ale takie były konsekwencje mojej wolności. Nie słuchałem w pewnych sprawach ojca, robiłem po swojemu, więc później płakałem. To my decydujemy, którą drogą pójdziemy.

Bunt nie zawsze musi jednak być czymś złym. Błędy i odczuwanie ich bolesnych skutków są dla nas świetną nauką.

Jak dzisiaj wygląda Twoje życie wiary? Czym różni się od tego, co było wcześniej?

Podstawą jest codzienna modlitwa i codzienne życie z Bogiem. Każdego dnia, zaraz po przebudzeniu mówię „Panie

Boże, fajnie że jesteś” i odmawiam modlitwę poranną. Potem zaś przez cały dzień staram się pamiętać o Bogu. Kiedy mam jakieś zadania do zrealizowania, proszę Go o wsparcie, kiedy mi się coś udaje, dziękuję Mu za to. Bóg jest z nami cały czas i w tych dobrych chwilach, i w tych złych. Świadomość tego bardzo mi pomaga.

Drugą kluczową sprawą jest dla mnie uczestnictwo w niedzielnej Eucharystii. Tyle że podchodzę do niej zupełnie inaczej niż kiedyś. Kiedyś, jeśli nie udało mi się znaleźć wolnej ławki, to wystanie godziny na Mszy było dla mnie katogą. Bolały mnie nogi, bolał mnie kręgosłup, każde kazanie księdza było zbyt długie, zbyt nudne, zbyt tendencyjne. Wszystko mi przeszkadzało. A tak naprawdę w ogóle nie słuchałem tego kazania, byłem na nim zupełnie nieobecny duchem. Teraz staram się wsłuchiwać w to, co ktoś na Mszy chce mi przekazać i wspólnie z Bogiem zastanowić się nad tym, co mnie spotkało w minionym tygodniu i co mnie czeka w nadchodzącym. Każda Msza święta okazuje się nowym, cennym doświadczeniem,

Ostatnio głośno było o Twojej wyprawie na Jasną Górę. Trabiły o niej wszystkie media (*śmiech*). Co Cię skłoniło, żeby wybrać się na pielgrzymkę?

Znajomy ksiądz zapytał, czy nie wybrałbym się z nim na pielgrzymkę. Nie lubię tłumów i wiedziałem, że będę wzbudzał lekkie zdziwienie wśród pielgrzymów, ale to się nie liczyło. Poczułem, że muszę iść. Od samego początku było to na tyle niezwykle doświadczenie, że zapragnąłem podzielić się tą informacją na Facebooku. Media rzeczywiście podchwyciły temat. Nie spodziewałem się takiego szumu (*śmiech*). Ale może ten rozgłos wyjdzie na dobre i zachęci kogoś do tego, aby wybrać się na pielgrzymkę. Zaręczam, że warto.

Podczas pielgrzymki doświadczyłem tego, w jak niesamowity sposób Bóg potrafi działać w naszym życiu – postawił na mojej drodze młodą dziewczynę, która szła do Częstochowy, by poprosić Go o pomoc w zrealizowaniu swojego marzenia, którym było wyprodukowanie spektaklu teatralnego. Kilka miesięcy wcześniej kupiła licencję na znaną zagraniczną sztukę

– *Mayday 2*. Okazało się, że rzeczy, które musiała ogarnąć, było tak dużo, że ją to zupełnie przytłoczyło. Poszła więc na pielgrzymkę, prosząc Boga o to, aby dodał jej siły potrzebnej do zmierzenia się z trudnościami, pomógł jej ułożyć wszystkie elementy spektaklu, zwłaszcza obsadę aktorską, która zgodziłaby się przyjąć zaproponowane im role... Ta młoda dziewczyna poszła na pielgrzymkę, na której jest kilka tysięcy osób, w którychś momencie zmieniła grupę. Podeszła do starego żuka, gdzie można kupić kanapkę i wodę, i zauważyła mnie, leżącego nieopodal. Zmęczonego, spoconego, z pęcherzami na nogach. I pomyślała: „Panie Boże, jakie Ty mi dajesz znaki. Właśnie myślałam o tym, jak obsadzić rolę młodego chłopaka w spektaklu, a tu leży przede mną Mroczek” (*śmiech*). Podeszła do mnie i powiedziała: „Kupiłam licencję na sztukę, szukam aktorów, czy zgodziłbyś się do nas dołączyć?”. Przez kolejnych kilkadziesiąt kilometrów marszu zastanawiałem się, co zrobić. Ostatecznie uznałem, że muszę się zgodzić. Skoro Bóg wysłał mnie na pielgrzymkę, postawił tę dziewczynę na mojej drodze, to nie mógł to być przypadek. Dzisiaj bardzo się cieszę z tej decyzji. Zresztą z Bożą pomocą nie mogło być inaczej (*śmiech*). Pracuję z zespołem niesamowitych ludzi. Wraz ze mną w sztuce gra między innymi Misiek Koterski, który, tak jak ja, po różnych życiowych zawirowaniach odnalazł Boga. Choć nasza wiara jest nieco inna – ja po zagranym spektaklu, jak coś nie pójdzie dobrze, tłumaczę się: „Nie poszło mi tak jak chciałem, dałem ciała, mógłbym lepiej”. A Misiek Koterski, w takim swoim charakterystycznym stylu, mówi: „Panie Boże, postawiłeś przed nami kłodę do pokonania. Zobaczcie, już się nam wydawało, że jesteśmy genialni, a tu Bóg dał nam w łeb. Ale nam dał do myślenia! Nie no, lepiej być nie mogło”. Misiek jest taki, że każdą sytuację przeżywa razem z Bogiem i z każdej potrafi wyciągnąć dobre rzeczy. Czym byłoby bowiem życie, gdyby wszystko się udawało?

Jakie były Twoje wrażenia z pielgrzymki poza tym niecodziennym spotkaniem z producentką teatralną?

Przyznam się, że nie spodziewałem się, że to taki trud. Już po pierwszym dniu i przejściu czterdziestu kilometrów

miałem dość. Miałem zakwasy, bolały mnie stawy skokowe, no i doskwierała mi asfaltówka, ten kto był na pielgrzymce, wie o czym mówię. Ale nie żałowałem tego wysiłku, bo ten czas był mi bardzo potrzebny. Mogłem się trochę wyciszyć i zastanowić nad swoim życiem, swoimi słabościami, oczekiwaniami, relacjami z ludźmi i powierzyć to wszystko Jezusowi. Na pielgrzymce nie ma telewizji, komputerów, jest za to mnóstwo młodych interesujących ludzi, z którymi można pogadać. Dla mnie to była bardzo dobra odmiana od codziennego życia.

Wspomniałeś o niezwyklej ekipie, z którą w tej chwili grasz w spektaklu *Mayday 2*. A jak na Twoje zbliżenie się do Kościoła zareagowały inne osoby z Twojego środowiska? Opowiadałeś im o tym, co przeżyłeś?

Kiedy mam okazję, zawsze chętnie rozmawiam o Bogu. Polityka, wiara, uczucia to najciekawsze tematy do rozmów.

Przyciągnąłeś do Kościoła z powrotem żonę, wiem też, że udało Ci się zabrać kilkoro znajomych na kolejne Msze pod Częstochową. Można powiedzieć, że zaliczyłeś już trochę sukcesów ewangelizacyjnych. Co mają robić inne osoby, w których otoczeniu są ludzie oddaleni od Kościoła? Jak działać aby ich zbliżyć do Boga?

Po wyprawie do Częstochowy miałem taki okres w życiu, w którym starałem się na siłę nawracać każdego, kto tylko znalazł się w pobliżu (*śmiech*). Nauczyłem się wtedy jednego: na siłę nikogo nie uszczęśliwimy. Ale mimo wszystko warto rozmawiać o Bogu i Kościele, starać się zasiać w drugiej osobie takie ziarenko, które być może kiedyś wykiełkuje. Dzisiaj ta osoba odrzuci to, co jej mówię, ale to nie znaczy, że kiedyś nie powie: „Był taki facet, który mi mówił o Bogu, może w tym, co mówił, było trochę prawdy?”.

MAGDALENA
KORZEKWA-KALISZUK

PRAWNIK, PUBLICYSTKA
DYREKTOR CITIZENGO
POLSKA

Marzę, aby każdy człowiek był święty

Moja kochana żona. Jest moim największym źródłem inspiracji. Wszystko, co robi, napawa mnie niesamowitą dumą. W wieku dwudziestu lat miała już za sobą spotkanie z Ojcem Świętym Janem Pawłem II, pięć lat prowadzenia programu „Ziarno” w TVP 1, dwanaście wydanych książek, ponad sto opublikowanych artykułów. Dzisiaj, kilka lat później, jest dyrektorem polskiego oddziału CitizenGO i pisze wiadomości mailowe do siedmiuset tysięcy Polaków. Ja jej historię znam doskonale, ale chciałbym, abyście mogli poznać ją także Wy.

Dlaczego zaangażowałaś się w działalność społeczno-religijną?

Magdalena Korzekwa-Kaliszuk: Każdy z nas został powołany do świętości. Przyjmuję to wyzwanie odważnie i pokornie. Bóg dał mi wiele talentów i zadbał o okoliczności, które pozwoliły mi wykorzystać moje umiejętności na rzecz walki o ewangeliczne wartości. Dał mi też marzenia, żeby zmieniać na lepsze nie tylko samą siebie, ale też świat – od zawsze w sercu miałam pragnienie, aby wszystko, co robię, służyło rozprzestrzenianiu się dobra. Trudno byłoby na takie

powołanie nie odpowiedzieć. Skoro dostałam od Boga liczne talenty, na przykład łatwość publicznych wystąpień, szybkie przyswajanie wiedzy (co pomogło mi w studiowaniu prawa oraz psychologii w Polsce i Austrii), zdolność szybkiego logicznego myślenia, a do tego On zadbał o to, abym mogła to wszystko wykorzystać na rzecz dobrych wartości, to nad czym miałabym się zastanawiać?... Tym bardziej, że Bóg postawił także na mojej drodze osoby, które nauczyły mnie mądrych priorytetów oraz sprawił, że moi bliscy, którzy mnie kochają, wspierali i wspierają mnie w tym, co robię. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że zaangażowałam się w działalność społeczno-religijną, bo tego chciał ode mnie Bóg.

Jak wielka jest dzisiaj potrzeba społecznego zaangażowania, dobitnie pokazało mi kilka konkretnych sytuacji, jakich doświadczyłam. Przede wszystkim to, że spotykałam nauczycieli w szkole i wykładowców na uczelni, którzy zamiast być dla nas – uczniów i studentów – życiowymi przewodnikami i pomagać nam odkrywać prawdę o otaczającym świecie, wszelkie dążenie do prawdy zwalczali. Już w gimnazjum interesowałam się prawem dotyczącym obrony życia. W jednej z prac, którą przygotowałam na konkurs z zakresu wiedzy o społeczeństwie, opisałam pewien projekt konstytucji UE, wykazując, że nie chroni on należycie życia dzieci i ich praw. Mój ówczesny nauczyciel odniósł się do mojego referatu bardzo nieprzychylnie. Merytorycznie mój tekst stał na wysokim poziomie, więc za taką reakcją nauczyciela musiały kryć się pobudki ideologiczne. Dla nastolatki, jaką wówczas byłam, było to bolesne zderzenie z rzeczywistością.

Z jeszcze bardziej przykrą sytuacją spotkałam się na studiach z psychologii, gdy miałam przedstawić referat na temat „trzeciego kroku”, który jest elementem programu dwunastu kroków w terapii uzależnień. Krok ten brzmi „Postanowiliśmy powierzyć nasze życie opiece Boga, jakkolwiek Go pojmujemy.”. Mówiłam wtedy o tym, że „jakiegokolwiek pojmowanie Boga” zakłada Jego istnienie i że nie można rozumieć tego kroku tak, jakby dotyczył na przykład przyrody – zawsze dotyczy on konkretnego, osobowego Boga. Jest jasne, że dla twórcy programu dwunastu kroków Bóg istniał i że powierzenie

życia Jego opiece jest warunkiem terapii tym programem. Wykładowca odebrał mi wtedy głos i powiedział, że zabrania mi wypowiadać na zajęciach takie stwierdzenia. Nie pozwolił mi dokończyć referatu. Pamiętam też inną sytuację, gdy razem z grupą studentów organizowałam uniwersytecki wykład znanego naukowca, który prowadził badania pokazujące przewrotność ruchów LGBT. Władze uczelni zabroniły nam zorganizować ten wykład po tym, jak lewicowe media podniosły larum o „homofobii” na uczelni.

Wielką potrzebę tego, aby mówić innym o Bogu i mądrych wartościach, dostrzegłam jeszcze wyraźniej, kiedy uświadomiłam sobie, jak bardzo ludzie są dzisiaj pogubieni i jak często się wzajemnie ranią. Jako studentka widziałam zachowania wielu moich rówieśników przechodzących z jednego konkubinatu w drugi i informujących o zmianach swoich konkubentów na Facebooku. Dużo do myślenia dała mi też dyskusja w programie śniadaniowym w publicznej telewizji ze znanym profesorem o czystości przedmażeńskiej. Odważyłam się wystąpić w tej dyskusji, chociaż miałam świadomość, że już na starcie mam przeciwko sobie promowanego w mediach profesora i – niestety – prowadzącą program. Po tym programie otrzymałam dziesiątki wiadomości od ludzi z całej Polski, którzy dziękowali mi, że jako młoda dziewczyna odważnie broniłam czystości przedmażeńskiej. Było mi z tego powodu bardzo miło. Ale zdałam sobie zarazem sprawę, że niestety w większości programów telewizyjnych dominuje wizja związków promowana przez profesora i prowadzącą, co musi rzutować na postawy przyjmowane przez młodych ludzi.

Te wszystkie sytuacje pokazały mi, że otacza mnie mnóstwo ludzi, którzy w swoim życiu rezygnują z pięknych i trwałych więzi oraz wartości oraz tacy, którzy je atakują. Upewniłam się też, że wielu ludzi potrzebuje umocnienia w wartościach i świadomości, że nie są sami w wierze i mądrych życiowych postawach. Postanowiłam, że będę bronić wiary i wartości nie tylko w życiu osobistym, ale też publicznie.

Zaczęłaś angażować się w działalność na rzecz wartości właściwie jeszcze zanim doświadczyłaś tych wszystkich sytu-

acji, które wymieniałaś. Przez pięć lat prowadziłaś telewizyjny program *Ziarno* na antenie TVP 1 i TV Polonia. Jak do tego doszło?

Jako bardzo mała dziewczynka oglądałam *Ziarno* z moimi rodzicami i siostrą Anią. Marzyłam o tym, aby ten konkretny program prowadzić. Gdy *Ziarno* ogłosiło, że organizuje casting, w wyniku którego wyłoni nowych prowadzących, poprosiłam rodziców, żeby pojechali ze mną do Warszawy. Miałam wtedy jedenaście lat. Po długich namowach i dzięki wsparciu mojej kochanej siostry, rodzice zdecydowali się na jednorazową wycieczkę do Warszawy z naszego rodzinnego, oddalonego o dwieście pięćdziesiąt kilometrów od stolicy Boronowa. Na casting przyjechało kilkaset dzieci, ale to nie przeszkodziło mi w spełnieniu mojego marzenia. Pamiętam, że w czasie przesłuchania zadano mi pytanie o to, co bym zrobiła, gdybym była wszechmocna, jak Bóg. Jaki prezent dałabym wówczas każdemu człowiekowi? Dziś odpowiedziałabym tak samo – tym prezentem byłaby świętość.

Udało mi się wygrać casting i przez pięć lat występować w moim ulubionym programie. Jestem wdzięczna rodzicom, że przez wszystkie te lata poświęcali swoje urlopy w pracy po to tylko, żeby zawozić mnie na kolejne nagrania. W programie czułam się jak ryba w wodzie. To było spełnienie moich marzeń i z wielką pasją podchodziłam do kolejnych wywiadów, zapowiedzi do kamery czy odgrywanych scenek. Tematy poruszane w programie były dla mnie szalenie ciekawe. Nie marzyłam o prowadzeniu jakiegokolwiek programu w telewizji, ale konkretnie o tym jednym, o *Ziarnie*. I udało się. Dziś, gdy spotykam się z młodymi osobami, często powtarzam im, żeby także odważyły się marzyć i za tymi marzeniami podążać. Piękne marzenia są punktem wyjścia do radosnego życia. Jeśli z góry zakładamy, że nic dobrego w naszym życiu nie może się wydarzyć, nie podejmujemy wysiłku, aby tak się stało, odbieramy sobie w ten sposób szansę na szczęście i radość.

Dzięki programowi *Ziarno* udało Ci się spotkać z Papieżem Janem Pawłem II. Jak to jest spotkać się z taką osobą?

Przekonałam się, że jedno spełnione marzenie może pociągnąć za sobą kolejne! Św. Jan Paweł II był bardzo bliski mojej rodzinie. Uważnie słuchaliśmy Jego nauczania. Dwukrotnie, w 1999 i 2002 roku, braliśmy udział w spotkaniach z nim, kiedy przyjeżdżał na pielgrzymki do Polski. Mamy nawet szczególną pamiątkę z nieplanowanego spotkania w Gliwicach, jakie miało miejsce 17 czerwca 1999 roku – świerki! Wyrosły one z poświęconych ziaren przywiezionych ze spotkania z Janem Pawłem II dzięki pomysłowi „Małego Gościa Niedzielnego”, którego byłam czytelniczką. Zawsze marzyłam o spotkaniu z naszym Papieżem twarzą w twarz.

W listopadzie 2004 roku wybrałam się wraz moimi rodzicami oraz ekipą *Ziarna* na imieniny Jana Pawła II do Rzymu. Pamiętam, że razem z grupą dzieci podeszłam do Ojca Świętego, zrobiono nam grupowe zdjęcie, oczekiwałam na możliwość indywidualnego podejścia do Papieża, ale ochrona zaczęła nas odsuwać. Odwróciłam się wtedy do stojących obok mnie ochroniarzy oraz księży i powiedziałam, że ja po prostu muszę podejść bliżej. Posłuchali mnie! Zrobili szpaler, przez który przeszłam. Wtedy, jako jedynej osobie z całej grupy, udało mi się otrzymać indywidualne błogosławieństwo św. Jana Pawła II. Uklękałam i ucałowałam lewą, chorą dłoń Papieża. W tym momencie On położył swoją prawą dłoń na mojej głowie i pobłogosławił mnie. Pamiętam ten moment, w którym poczułam ciepło na głowie. Pamiętam pełne miłości spojrzenie św. Jana Pawła II. Widziałam w Jego oczach radość! To spotkanie miało miejsce 4 listopada 2004 roku, czyli pięć miesięcy przed śmiercią Papieża. On wtedy już bardzo cierpiał fizycznie. Mimo to, umiał okazać miłość i radość mnie, piętnastolatce, której był bliski od dawna. Tamto spotkanie do dziś wspominam z ogromnym przejęciem. Wiele razy także po śmierci św. Jana Pawła II doświadczyłam Jego wsparcia. Tamto dotknięcie i spojrzenie tak bliskiego mi Świętego pozostanie we mnie na zawsze. Brałam udział w kanonizacji św. Jana Pawła II w Rzymie i kilkakrotnie byłam przy Jego grobie. Ostatnim razem ze łzami w oczach dziękowałam św. Janowi Pawłowi II za to, że pomógł mi spełnić kolejne marzenie mojego życia. Doświadczam Jego wsparcia i modlitwy na co

dzień. Godzina Jego śmierci to dla mnie bardzo często moment szczególnej modlitwy. On żył tak blisko Jezusa, że ufam mu, chociaż spotkaliśmy się twarzą w twarz tylko raz. To wystarczyło, żebym doświadczyła Jego miłości.

Czy trudno było Ci jako nastolatce być jedną z nielicznych osób żyjących wartościami chrześcijańskimi wśród swoich rówieśników? Wiem, że kilka razy musiałaś o te wartości publicznie zawalczyć.

Nie czułam się samotna w wierze i wartościach. Przede wszystkim otrzymałam od bliskich ogromną miłość, a razem z nią wiarę i wartości. Należałam do wspólnoty Dzieci Maryi razem z kilkoma koleżankami z klasy, w gimnazjum prowadziłam spotkania tej wspólnoty. Zdecydowana większość nauczycieli podzielała moją wiarę i wartości. Zdarzało się jednak, że wyczuwałam rozdźwięk między tym, co pociągało większość moich rówieśniczek i mnie. Sporo koleżanek z klasy i szkoły zaczytywało się w pisemkach typu „Bravo Girl”. To były pierwsze chwile, gdy czułam, że to, co jest popularne i pociąga nawet większość, nie jest dobre. Szukałam więc własnych zainteresowań. Z upływem lat sytuacji, w których musiałam stawać w obronie mądrych wartości, niestety przybywało. Pamiętam jak podczas jednego z wakacyjnych obozów jako jedyna nastolatka sprzeciwiałam się picciu alkoholu i podawaniu go niepełnoletnim uczestnikom. Inna trudna sytuacja miała miejsce w liceum. Zostałam wybrana do reprezentowania szkoły podczas spotkania z profilaktykiem od AIDS. Podczas swojego wystąpienia dla kilkuset nastolatków ów profilaktyk zachwalał prezerwatywy jako „jedyną skuteczną metodę walki z AIDS” i ani słowem nie wspomniał o tym, że jedyną w pełni skuteczną metodą walki z AIDS w kontekście zachowań seksualnych jest czystość przedmałżeńska i wierność małżeńska. Na sali było wielu nauczycieli, ale żaden nie oponował. Zebrałam się wtedy na odwagę i poprosiłam o głos. Czułam, że ktoś po prostu musi coś zrobić! Że młodzi ludzie nie mogą wyjść ze spotkania z błędnym przesvědzczeniem o skuteczności prezerwatyw. W ten sposób zachęcałoby się ich bowiem do nieodpowiedzialnych postaw,

które mogłyby przynieść dramatyczne konsekwencje. Wstałam i powiedziałam, jaka jest najskuteczniejsza profilaktyka AIDS. Panu profilaktykowi zaczęły wtedy drżeć ręce i upuścił mikrofon! Po czym stwierdził, że może warto przemyśleć to, co powiedziałam i zakończył spotkanie... Nie mówię o tym po to, aby się pochwalić, tylko po to, żeby podzielić się historiami, które wymusiły na mnie przeciwstawienie się innym. To były sytuacje, podczas których wiedziałam, że nie mogę milczeć, że muszę zadziałać, nawet jeśli było to trudne, a walka okazywała się nierówna. Przekonałam się wówczas, że ludzi myślących podobnie jak ja jest wielu, ale często brakuje im odwagi, żeby sprzeciwić się złu. Przekonałam się także, że warto walczyć o dobre wartości i przeciwstawiać się złu bez względu na wiek. Okazało się, że mając siedemnaście lat, potrafiłam zrobić coś, czego nie potrafili dużo starsi ode mnie nauczyciele.

Skoro mowa o młodym wieku – wyjątkowo wcześniej zaczęłaś także działalność publicystyczną. Twoja pierwsza książka ukazała się, gdy miałaś szesnaście lat, a potem szybko pojawiły się kolejne. Teraz gonię Cię w ich liczbie, ale ciągle jestem jeszcze daleko w tyle (*śmiech*).

Teraz możemy już biec w tym wyścigu jako jedna drużyna (*śmiech*). Wszystkie książki, których jestem autorką albo współautorką, dotyczą spraw ważnych dla człowieka w każdym wieku. W kwestii miłości, radości i przyjaźni nie ma ograniczeń wiekowych, bo ich istotą jest pragnienie świętości swojej, a także drugiej osoby, a ono jest aktualne dla każdego. Pierwsza książka napisana wraz z księdzem Markiem Dziewieckim to *Radość przyjaźni* (Jedność, Kielce 2005). W kolejnych podejmowaliśmy w dalszym ciągu tematy najważniejszych więzi i wartości. Poznałam księdza Marka w programie *Ziarno*, stał się moim indywidualnym tutorem, od którego ogromnie dużo się nauczyłam. Wspólne pisanie było rozwijające i radosne. Moja pierwsza własna książka również dotyczy radości (*Niezawodna radość*, eSPe, Kraków 2007) – to zdecydowanie mój ulubiony temat. Kolejna z moich książek to bardzo kobieca, chociaż nieprzeznaczona tylko dla kobiet,

pozycja, jej tytuł brzmi *Ogrody nastrojów* (Pomoc, Częstochowa 2010). Chciałabym w przyszłości rozwinąć wiele tematów, które poruszyliśmy z księdzem Markiem w naszych książkach i o których pisałam sama. Rozumienie Boga, miłości i radości nie ma granic, bo Bóg nie ma granic, a my jesteśmy stworzeni na Jego obraz.

Spotkaliśmy się w Akademickim Stowarzyszeniu Katolickim Soli Deo. Czy takie stowarzyszenia – pomijając to, że można tam poznać przyszłego małżonka (*śmiech*) – to dobry pomysł na studia?

Argument z małżonkiem wygrywa! (*śmiech*) Oczywiście że takie stowarzyszenia to fantastyczny pomysł. Na każdym etapie życia ważne jest, by być blisko ludzi, z którymi można dzielić wiarę i wartości. Gdy rozpoczynałam studia na Uniwersytecie Warszawskim, świadomie znalazłam dla siebie miejsce w katolickim akademiku. Chciałam być blisko ludzi, z którymi mogłam czuć się jak u siebie. Z tego samego powodu zdecydowałam się dołączyć do Akademickiego Stowarzyszenia Katolickiego Soli Deo. Wybrałam się na Sylwestra organizowanego przez Soli Deo w Zakopanem. Zapamiętam ten wspólny wyjazd z tańcami, bezalkoholowymi imprezami, nartami i wędrowaniem po górach do końca życia. Przez kilka lat brałam bardzo aktywny udział w spotkaniach Soli Deo. Zostałam też prezesem koła przy Uniwersytecie Warszawskim. Takie miejsce to z jednej strony możliwość zawarcia bliskich przyjaźni i poczucia wspólnoty – w świecie, w którym trudno jest czasem przyznawać się do tego, w co się wierzy i jakimi wartościami się żyje, ten wymiar stowarzyszenia jest szalenie ważny. Z drugiej strony – daje ono możliwość promowania wartości w środowisku uniwersytetu. Jako aktywny członek Soli Deo prowadziłam na wyższych uczelniach wiele debat na tematy związane z wartościami w sferze publicznej oraz zakochaniem, miłością i przygotowaniem do małżeństwa. Organizowaliśmy te spotkania w gronie członków. Nie mam wątpliwości, że to były dobre rzeczy. Zachęcam każdą młodą osobę, żeby szukała w swoim środowisku nie tylko duszpa-sterstwa akademickiego (co też jest bardzo ważne), ale też

miejszc, gdzie samodzielnie można się zaangażować i promować wartości w środowisku studenckim. Odwaga w życiu Ewangelią zawsze procentuje. Czas studiów jest po to, żeby mądrze przygotować się do dorosłego życia, zarówno zawodowego, jak i rodzinnego. Jeśli jako dwudziestoparolatkowie będziemy odważnie bronić Jezusa i Ewangelii w naszym życiu oraz w środowisku swoich rówieśników, to prościej będzie nam żyć ewangelicznymi zasadami w przyszłości.

Znam wiele osób w moim wieku, które, wyjeżdżając ze swoich rodzinnych domów na studia i zaczynając życie w nowym miejscu, pogubiły się i pokomplikowały sobie życie przelotnymi romansami i związkami oraz odejściem od Boga i Kościoła. Często wydawało im się, że zachowują się „jak inni”. To, jakimi ludźmi się otaczamy, może nam bardzo pomóc w zachowaniu mądrych priorytetów i kierowaniu się ewangelicznymi wartościami. Bóg i Kościół, czyli wspólnota wierzących, chronią człowieka, jeśli tylko pozwala im on być blisko siebie.

Po studiach zaczęłaś pracę w organizacji CitizenGO. Dlaczego tak utalentowana osoba jak Ty, zamiast robić karierę w korporacji prawniczej, zaczęła działać w obronie życia i rodziny?

Zawsze miałam wiele pasji i marzeń. Bardzo dobrze czułam się na scenie i w świecie mediów, ale już jako nastolatka byłam też mocno zainteresowana polityką oraz tym, co prawo mówi o wartościach. Gdy podejmowałam studia z prawa i psychologii w ramach Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim, zależało mi na tym, żeby całą wiedzę, jaką w ich ramach zdobędę, wykorzystać na rzecz działania w obronie wiary i dobrych wartości. Z tą myślą studiowałam również przez rok na Uniwersytecie w Wiedniu, zwłaszcza te przedmioty, które dotyczyły praw podstawowych, praw dziecka, rodziny oraz filozofii prawa. W czasie studiów poświęcałam czas na różne działania w obronie wartości. Przyszło mi to dość naturalnie. Wiedziałam, że w ważnych sprawach nie mogę milczeć. Najdłużej trwała moja działalność w ramach Akademickiego

Stowarzyszenia Katolickiego Soli Deo. Dwa dni po obronie pracy magisterskiej wybrałam się do Madrytu, żeby poznać pomysłodawców CitizenGO – organizacji, która wówczas startowała i która postawiła sobie za cel bronienie życia, rodziny i wolności religijnej oraz wolności sumienia na świecie. Zdecydowałam się do niej dołączyć i rozpoczęłam tworzenie tego projektu w Polsce. Po dwóch i pół roku działalności wiadomości mailowe, które rozsyłam w ramach tego projektu, docierają nawet do ponad 700 tysięcy Polaków. CitizenGO to głównie internetowe petycje dotyczące podstawowych wartości, chroniące godność człowieka, pod którymi podpisują się dziesiątki, czasem setki tysięcy ludzi, ale także naciskanie na polityków i organizacje międzynarodowe, żeby podejmowały działania w obronie człowieka.

W petycjach najczęściej protestujemy przeciwko złu: upominamy się o pamięć o prześladowanych chrześcijanach, sprzeciwiamy się wszelkim prawom godzącym w ludzkie życie i godność, walczymy o poszanowanie naszej religii (i na przykład nieprofanowanie rzeczy dla nas świętych). Efekty bywają różne, ale niektóre sprawy pokazują, że warto podejmować takie działania. Dzięki międzynarodowej presji, zainteresowaniu setek tysięcy osób w Polsce i na świecie, udało się między innymi do tej pory powstrzymać egzekucję Asi Bibi, skazanej w Pakistanie na karę śmierci za rzekome bluźnierstwo (czyli przyznanie się do wiary katolickiej).

Staramy się także wspierać dobre postawy. Pod listem poparcia i wdzięczności dla postawy Profesora Bogdana Chazana, zwolnionego z pracy za to, że nie zgodził się na zabicie chorego dziecka w kierowanym przez niego warszawskim szpitalu, który to list przygotował mój Mąż, podpisało się prawie sto pięćdziesiąt tysięcy osób. Profesor sam przyznawał później, że wielkie wsparcie, jakie otrzymał od ludzi, pomogło mu przetrwać ten trudny moment i nabrać sił do podejmowania nowych inicjatyw.

Ważnym obszarem naszych działań jest też produkowanie filmów na temat bohaterstwa i cierpienia prześladowanych chrześcijan (*Insha Allah, Uwolnić Asię Bibi*).

Nie mam wątpliwości, że dzisiaj trzeba włączać się w różne akcje sprzeciwu wobec zła lub poparcia dla dobra. Oprócz podpisywania się pod internetowymi petycjami warto uczestniczyć w marszach dla życia czy w inicjatywach obywatelskich. Jest bardzo istotne, aby nasze społeczeństwo miało świadomość, że za mądrymi wartościami ciągle opowiada się mnóstwo osób. Symboliczny upadek komunizmu w Polsce rozpoczął się od pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Nie tylko ze względu na wymiar duchowy tego wydarzenia, ale także dlatego że Polacy-patrioci i katolicy mogli się wtedy policzyć. Mogli zobaczyć, że innych osób, które sprzeciwiają się komunizmowi i są przywiązane do wiary, są miliony. Obecnie wierzących osób, mających jasne zasady moralne, wcale nie jest mniej. Daliśmy się tylko ponownie stłamsić – tym razem mediom, które dzień w dzień propagują antykulturę śmierci. Po różnych akcjach, jakie przeprowadzałam, zwłaszcza po liście podziękowania za postawę profesora Chazana, otrzymywałam wiele wiadomości, w których ludzie dziękowali mi za to, że mogli się przekonać, iż nie są w wyznawanych wartościach sami. To nie była jednak moja zasługa, tylko wszystkich tych, którym chciało się wykonać minimalny wysiłek i podpisać pod petycją. Zachęcam do takich postaw. Możemy dodać w ten sposób innym osobom odwagi do przyznawania się do wiary, możemy także dodać wiele odwagi politykom-katolikom, którzy często chcieliby wprowadzać dobre prawo, ale się boją, że to się zemści na nich w wyborach. Trzeba im pokazywać, że wręcz przeciwnie – to będzie się im opłacać, bo osób, które popierają konkretne rozwiązania jest bardzo dużo.

To, że nie pracuję dziś w żadnej korporacji, tylko zajmuję się obroną życia, to był więc mój świadomy wybór. Jeszcze w czasie studiów jedna z najlepszych firm konsultingowych na świecie zaprosiła mnie na rozmowę w sprawie pracy. Na kolejne spotkanie postanowiłam nie pójść. Wybrałam wtedy obronę życia i rodziny. Nie żałuję tego. Obrona wartości wymaga profesjonalnego działania. Cieszę się, że mogę zajmować się taką działalnością na sto procent. Chciałabym, aby powstało jak najwięcej korporacji działających w obronie

wartości. Mam na myśli takie formy działalności, które pozwalają zaangażować się całkowicie w dobre rzeczy. Nie mam nic przeciwko pracy w typowym biznesie i nie wykluczam zajęcia się tym w przyszłości. Ale chyba nadszedł już czas, żebyśmy na działalność społeczną pozwalali sobie i innym nie tylko w wolnym czasie, po pracy, bo wolnych chwil brakuje nam zazwyczaj nawet dla najbliższych osób.

Nie boisz się brać udziału w takich debatach jak ta o czystości przedmałżeńskiej w *Pytaniu na Śniadanie*, czy ostatnio o aborcji w TVN? W sytuacji, gdy masz przeciwko sobie nie tylko drugą osobę, ale i prowadzącego, i gdy po programie zawsze można się spodziewać odpowiedniej dawki hejtu w internecie?

Przyznawanie się do wartości często wymaga pokonywania lęku. Dyskusje w telewizji niewiele różnią się od tych w rodzinie, środowisku pracy, na studiach czy w szkole. W każdym z tych miejsc możemy obawiać się tego, jak zostaniemy odebrani, czy inni nas rozumieją, a nie wyśmiejają, czy kogoś przekonamy. Nie jest sztuką siedzieć przed telewizorem i jedynie kibicować swoim przedstawicielom. Każdy z nas powinien samodzielnie i aktywnie bronić wartości w każdej możliwej sytuacji. Warto zebrać się na odwagę, bo stawka w tej współczesnej wojnie jest bardzo wysoka. To ludzkie życie i jego ochrona, to rodzina, kształt naszej polityki i prawa, wolność sumienia i wyznania oraz całokształt promowanej kultury. Kto o to wszystko zawalczy, jeśli nie my, katolicy?

Czyli każdy człowiek może mieć wpływ na rzeczywistość?

Przede wszystkim każdy z nas ma wpływ na rzeczywistość swojego życia! Najtrudniejszym zadaniem każdej i każdego z nas jest sprawić, żeby nasze życie było piękne, a my i nasi najbliżsi szczęśliwi. Od tego powinniśmy zacząć. Każdego dnia wieczorem powinnam zadać sobie pytanie: co jeszcze mogłabym zrobić, aby moi bliscy byli bardziej szczęśliwi i abym ja bardziej ich kochała. Nie byłoby dobrze walczyć o cały świat wokół, gdyby nasze własne życie i życie naszych najbliższych było smutne i brakowało w nim miłości. W czasie

moich studiów nauczyłam się, że każdego dnia mam tysiące możliwości na spędzenie wolnego czasu. I każdego dnia podejmuję bardzo ważną decyzję, która ma wpływ na rzeczywistość.

Gdy umiemy mądrze zarządzać swoim czasem i tym, na co go poświęcamy, warto pomyśleć o świecie wokół nas. Każdy z nas może przyczyniać się do jego przemiany.

Możemy mieć wpływ na to, jakie obowiązuje nas prawo, jacy politycy rządzą naszym krajem, a nawet na to, jakich ludzi spotykamy na ulicy! Łatwo jest pomyśleć, że niewiele możemy zrobić i w postawie zniechęcenia tolerować zło dziejące się wokół nas. Ale to błędna i bardzo zła postawa. Jeśli ja nie zawalczę o świat wokół mnie, czyli o politykę, kulturę, lokalne i krajowe prawo, wychowanie dzieci i młodzieży, to inni ludzie zdecydują za mnie.

Czasem jesteśmy bierni dlatego, że wydaje się nam, że jesteśmy w mniejszości. Powtórzę: to nieprawda. Osób, które wyznają podobne wartości, jest bardzo dużo, tylko one się do tego często nie przyznają. Zazwyczaj wystarczy, że jedna osoba zainicjuje jakąś aktywność i w ten sposób uruchomi pozytywną falę. Podam prosty przykład. Jeśli większość mieszkańców z określonej ulicy poprosi lokalny sklep, aby nie sprzedawał pornograficznych czasopism, to jestem pewna, że w wielu przypadkach właściciele sklepu posłuchają takiej prośby. Ktoś musi jedynie zachęcić innych do sprzeciwu. Podobnie, jeśli w szkole znajdzie się choć jeden rodzic, który zwróci uwagę na to, że zamierzają do niej przyjść pseudo-edukatorzy seksualni i że powinno się tego zabronić, żeby nie deprawowali dzieci, to z pewnością znajdą się też inni rodzice, którzy dołączą do takiego sprzeciwu. Znam taką sytuację, gdy pani o imieniu Agnieszka wybrała się ze swoimi dziećmi do kina na piękny film. Niestety, przed jego projekcją kino pokazało pornograficzne reklamy. Co zrobiła pani Agnieszka? Przygotowała list skierowany do działu marketingu tego kina i poprosiła znajomych o jego wysyłanie. Po bardzo krótkim czasie kino przeprosiło i zapewniło, że usunęło nieodpowiednie reklamy i że taka sytuacja już się nie powtórzy. A można było pomyśleć, że nic nie da się zrobić...

Takich sytuacji są tysiące! Mam wpływ nie tylko na rzeczywistość mojego życia (choć to przede wszystkim!), ale też na otaczający mnie świat.

Podkreślasz, że najważniejsze w naszym życiu jest to, by ono było piękne, a my i nasi najbliżsi szczęśliwi. Jak to osiągnąć? Jak wygrać życie?

Wygrać życie to zostać świętym. Święty człowiek jest szczęśliwy. Emanuje z niego radość i pokój. To ktoś, kto wie, że choćby cały świat był przeciwko niemu, on będzie blisko Boga, będzie czuł się przez Niego kochany i sam będzie kochał. Świętość to najpiękniejsza normalność.

Wygrywanie życia zaczyna się od trwania w prawdzie. Gdy akceptuję prawdę o świecie i – co trudniejsze – o mnie samej, mam szansę wejść na drogę świętości. Wbrew pozorom przyjęcie prawdy o swoich ograniczeniach może być czasem łatwiejsze od uświadomienia sobie prawdy o swoich talentach, bo to drugie bardziej zobowiązuje! Znam osoby, które po wielu latach powtarzalnej pracy w korporacjach żyją w lęku, że nie potrafią zrobić nic poza kilkoma prostymi zadaniami. Życie wygrywa ten, kto zbiera się na odwagę, żeby przed samym sobą uznać swoje ograniczenia oraz... talenty! I żeby – jak w przypadku o talentach – stać się tym, który je pomnaża.

Kluczowym warunkiem, koniecznym do tego, aby wygrać życie, jest także posiadanie mądrych priorytetów. Mądry człowiek, po pierwsze, najbardziej ufa Bogu, bo Bóg nigdy nie zawodzi i kocha nawet wtedy, gdy cały świat jest przeciwko nam, gdy wszyscy inni rozczarowują. Po drugie, osobiście wiąże się tylko z tymi ludźmi, którzy sami kochają i potrafią przyjmować miłość, i od nich uzależnia swój los i swoje szczęście. Moi współpracownicy i inni ludzie, których spotykam, mogą mnie czasem wesprzeć i pochwalić, a czasem nie zrozumieć czy skrytykować. Jeśli jestem mądra, to potrafię zachować zdrowy dystans wobec tych, którzy nie są mi najbliżsi. Ale potrafię też zaufać najbliższej mi osobie.

A po trzecie, mądry człowiek potrafi mądrze kochać. Zdolność do kochania i przyjmowania miłości jest najważniejszym spośród talentów, o których wspomniałam, ale zarazem tym,

przed którym odczuwamy największy lęk. Zupełnie niepotrzebnie. Każdy z nas jest w stanie go zrealizować. W tym celu musimy przede wszystkim zrozumieć, czym jest miłość, czyli nauczyć się odróżniać ją od naiwności, zakochania (prawdziwej miłości towarzyszą jeszcze piękniejsze od zakochania uczucia i emocje!), chwilowych uczuć i przyjemności, akceptacji wszystkich zachowań drugiej osoby czy tolerowania zła. To jednak nie wystarczy. Trzeba ponadto podjąć wysiłek i całym sobą okazać miłość kochanej osobie. Nie da się kochać teoretycznie. Miłość przejawia się w obecności, mądrym wspieraniu i rozumieniu kochanej osoby oraz czułości. To taka postawa wobec bliskiej osoby, w której zależy mi na tym, żeby ona sama stawiała się najpiękniejszą wersją samej siebie i doświadczała mojej miłości na co dzień, czyli żeby miłość dosłownie widziała w moich słowach, czynach i gestach.

Co ważne, trudno byłoby kochać innych, nie kochając siebie. Miłość do samego siebie nie ma nic wspólnego z samouwielbieniem, egoizmem czy pobyżaniem sobie. To mądre, stanowcze, ale też pogodne stawianie sobie wymagań.

Jeśli kocham, to przeżywam radość. Radość jest nagrodą za miłość i jest z nią nieodłącznie związana. To dużo więcej niż chwilowa przyjemność. Jeśli kochamy, to nawet wtedy, gdy przeżywamy trudne chwile i cierpienie, radość nas nie opuszcza. Znam ludzi starych i cierpiących, którzy – mimo to – są radośni.

Świętość to miłość, której nagrodą jest radość. Jest ona moim największym marzeniem. Chciałabym tak mocno kochać, żeby najbliższe mi osoby wraz ze mną stawały się coraz bardziej święte. To najtrudniejsze zadanie w całym życiu, ale „wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia” (Flp 4,13). Jezus przyszedł po to, aby Jego radość w nas była pełna (por. J 15,11). Do świętości zaprosił mnie Ten, który jest najlepszym teoretykiem i praktykiem miłości. A ja Mu ufam całkowicie.

